

Gdy przed kilkunastu laty prze-
bywałam w Londynie — był to
okres pełnego rozkwitu młodej
„gniewnej” dramaturgii angielskiej
i po raz pierwszy na tutejszej pury-
tańskiej scenie z wielką siłą ujawni-
ającej się mody porno — wśród
bestsellerów teatralnych znajdowała
się... adaptacja „Ani z Zielonego
Wzgórza” pani Montgomery. Spektakl
szedł w jednym z czołowych
teatrów West-Endu już nie od miesi-
ęcy, ale od lat wielu przy stałe
wypełnionej widowni; i to nie tylko
młodzieżowej. Protest przeciwko no-
wej teatralnej fali? Ucieczka od
trudów i kłopotów coraz bardziej
trudnego i kłopotliwego współczesne-
go świata, świata gwałtownie roz-
wijającej się cywilizacji przy gwał-
townie spadającej kulturze duchowej?

A może po prostu żywy oddźwięk,
jaki od lat wywołuje na całym
świecie zarówno sama — wielotomo-
wa — opowieść o rudowłosej Ani
Shirley i jej pocziwych opiekunach,
jak opowieści tej różnorakie scenicz-
ne adaptacje, wynikał po prostu z
faktu, że mimo upływu czasu mówi
ona o sprawach nadal aktualnych i
mogących wzruszać? Choć zapewne
rzecz to dziś dla nas nieco myszką
trącającą — w sensie warstwy oby-
czajowej, a może i psychologicznej,
choć nie ukazuje pełnego obrazu ży-
cia także epoki, o której traktuje,
to jednak znaleźć tu można i
sporo odniesień do spraw współcze-
snych, do doświadczeń i przeżyć nie
obcych także dzisiejszemu człowie-
kowi. Sam problem adopcji, nieko-
chanych dzieci, niewyżytych ma-
cierzyńskich uczuć, osamotnionych
starych ludzi, pięknej przyjaźni —
to przecież sprawy dla wielu, bar-
dzo wielu bliskie, interesujące i ży-
we. Ze za dużo tu tkliwości i roman-
tyzmu? A czyż w głębi duszy i dzi-
siejsza „nowoczesna” młodzież nie
 tęskni trochę (po Kryjomu!) do
szczypty właśnie romantyzmu. Wła-
śnie serca?...

Krystyna Zbiłewska

Podarki dla najmłodszych

A zatem „Ani z Zielonego Wzgó-
rza” w krakowskiej „Bagateli” wróżyć
można pełne, zasłużone powodzenie.
Zdawał sobie z tego sprawę sam
teatr, powtarzając przedstawienie
sprzed lat — w podobnym zresztą
kształcie inscenizacyjnym, jako że
realizację spektaklu powierzono
twórczyni pierwszej „Ani”: Marii
Billizance. Artystce, która całe swe
życie poświęciła teatrowi dziecięcemu
i młodzieżowemu i w tej chwili
— wobec generalnego odrotu na-
szych scen od przedstawień dla młode-
go widza — poza TV (blisko 20
przedstawień!) nader rzadko ujawni-
a się w teatralnej pracy. A mi-
nęło właśnie 50-lecie twórczej dzia-
łalności tej zasłużonej reżyserki i
czekamy na godne uczczenie nie-
zwykłego jubileuszu.

Ale wracajmy do „Ani”. Należę
do pokolenia, dla którego powieść
Montgomery była ulubioną książką
młodości (zresztą sądzę, że nie jest
to tylko sprawa „pokoleniowa”; już
teraz słyszy się w księgarniach py-
tania „kiedy wyjdzie Ania?”; w naj-
bliższych tygodniach ukazać się ma
polskie wznowienie tej książki) —
sceniczną „Anię” przyjmuję więc
zawsze z pewnym rozrzuwieniem.
Ale nie tylko ono pozwala mi w
przedstawieniu krakowskim doszu-
kać się sporej ilości cennych walo-
rów. Są w nim co prawda i pewne
elementy inscenizacyjne, z których
z pożytkiem dla całości można by
rezygnować (przed wszystkim ro-

zenia i marzenia Ani na tle kwiet-
nego ogrodu), ale nie one są tu naj-
ważniejsze.

Najważniejszy jest rysunek psy-
chologiczny postaci — trafny i z ak-
torską kulturą przekazany przez wy-
konawców. Na szczególne uznanie
zasługuje rola Maryli (Iza Wicińska)
— suchej, stanowczej starej panny,
która pod wpływem obcowania z
pełną fantazji dziewczynką o boga-
tą wyobraźni i bogatym sercu prze-
kształca się w najczulszą opiekunkę.
Dobrze wybrnęła ze swej niełatwej,
zróżnicowanej tytułowej roli kilku-
nastoletka Alicja Kobieliska. To sa-
mo powiedzieć można o ciekawie
zarysowanej postaci jej przyjaciółki
Diany (Barbara Zajączkowska). Sta-
nisław Zachara z umiarem ukazał
spokojną serdeczność starszego, za-
hukanego przez rezolutną siostrę
człowieka, Bogna Gębik z nadmiar-
em — plotkarstwo i wścibskość
Malgorzaty. Prosta scenografia (Ja-
nusza Warpechowskiego) pozwala na
równoczesne ukazywanie kilku pla-
nów gry bez zmian dekoracji.